



Andrzej CELIŃSKI

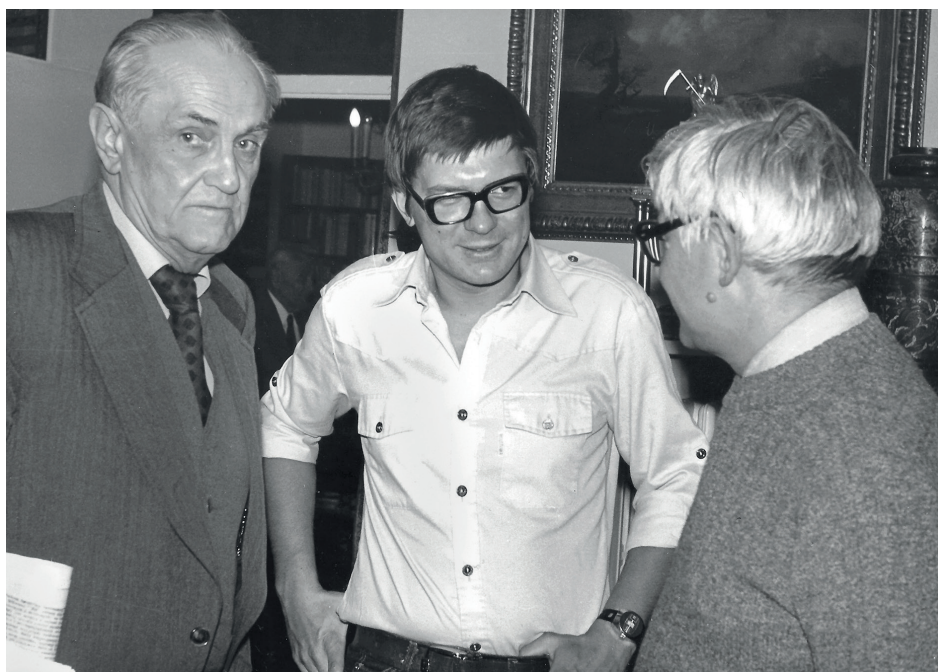
Bardzo dobry człowiek w niezbyt dobrych czasach

Relacja **prof. Jana Kielanowskiego z Andrzejem Celińskim** to relacja dwóch światów – akademickiej elity i młodej opozycji. Wspólna praca w Towarzystwie Kursów Naukowych zbliżyła ich mimo różnic pokoleniowych i światopoglądowych. Łączyła ich nie tylko idea wolności, lecz także wzajemny szacunek i poczucie odpowiedzialności za standardy w nauce i życiu publicznym.

Professor Romuald Zabielski o tym niezwykłym czasie rozmawia z **Andrzejem Celińskim**.

Romuald Zabielski: Czy pamięta pan pierwsze spotkanie z prof. Janem Kielanowskim?

ANDRZEJ CELIŃSKI: Tak dokładnie to nie. Zdaje mi się, że było to późnym latem 1977 roku, kiedy organizowałem Uniwersytet Latający, tworzyłem Towarzystwo Kursów Naukowych (TKN). Profesor był wybitną postacią nauki. W moim domu, w domach przyjaciół moich rodziców znało się nazwiska wielkich uczonych, mówiło się o nich, wszyscy czytaliśmy dekadę wcześniej znakomity miesięcznik „Problemy”, popularyzujący osiągnięcia nauki. Nazwisko Kielanowski



Spotkanie członków Komitetu Obrony Robotników w Warszawie w 1978 roku.
Od lewej: prof. Jan Kielanowski, Andrzej Celiński, Jan Józef Lipski

FOT. MARCIN JABŁOŃSKI (ZE ZBIORÓW PROF. ANDRZEJA FRISZKE)

było znane. Może bardziej brata Profesora, Tadeusza Kielanowskiego. Był profesorem medycyny, mieszkał w Gdańsku, były tam jakieś konflikty z władzą.

Mieliśmy w domu co roku nowe, aktualizowane wydanie Rocznika Nauki Polskiej. Był to książkowy spis ludzi nauki: były tam imię, nazwisko, specjalność, telefon, adres służbowy i domowy. Nie było jeszcze RODO. Przeglądałem ten spis, wyszukiwałem znane mi z jakieś lektury, na ogół z prasy – z „Polityki”, z „Życia i Nowoczesności” Bratkowskich – a także z domowych rozmów osoby i dzwoniłem do nich. „Dzień dobry, mówi Andrzej Celiński. Moje nazwisko pani/panu z pewnością nic nie mówi, ale mam pewną sprawę do omówienia, tak na 15 minut, która, myślę, pana/panią zainteresuje. Czy da pan/pani mi szansę?” Chyba wszyscy godzili się mnie przyjąć, nie pamiętam odmowy, zresztą ja przecież wiedziałem, do kogo dzwonię. Uniwersytety, mówię ogólnie, prawdziwa nauka była dla licznych pewną enklawą wolności, oddechu, dawała możliwość wyjazdów, w każdym razie kontaktów z normalnym światem. Nie pamiętam, by ktoś odmówił spotkania. Trochę inaczej było w kolejnym etapie, gdy zapraszałem do uczestnictwa w TKN. Wtedy spotykałem się – czasami, lecz bardzo rzadko – z odmową. Nie jestem do końca pewny, czy Profesora „zwerbowałem” w ten sposób. Może nie. Może tak. Nie jestem pewny swojej pamięci. Profesor podpisywał listy konstytucyjne, List 59 (1975 rok). W naszym środowisku młodzieży opozycyjnej, pomarcowej, było to dobrze znane nazwisko. Z pewnością poznałem go w związku z Uniwersytetem Latającym. Był członkiem Komitetu Obrony Robotników, budził respekt nie tyle nawet pozycją uczonego, ile osobowością. Może Adam Michnik zapytał mnie, czy z nim rozmawiałem, czy chcę rozmawiać. Może powiedział, że powinienem. Uniwersytet Latający to był sukces trochę zaskakujący. Nie spodziewałem się, że to pójdzie „jak ogień po słomie”. Tworzyłem go właściwie z myślą o sobie, o Pawle Śpiewaku, Tadeuszu Szawielu, o młodych asystentach uniwersyteckich, którzy byli właśnie wyrzucani z pracy. Mieliśmy „swoich” studentów, pewien krąg młodych ludzi wokół siebie, którzy szukali jakiejś przestrzeni wolności, prawdy, poszukiwali kontaktów. Wydawało mi się, że my możemy już prowadzić wykłady po domach, ale szybko doszedłem do wniosku, że to bez sensu, żebyśmy tylko my prowadzili te wykłady, skoro

właściwie od razu znaleźli się pośród nas znakomici, prawdziwi profesorowie, wykładowcy, ludzie wybitni w środowisku nauki. W tamtym czasie ktoś, kto był członkiem Polskiej Akademii Nauk, miał nieprawdopodobny wręcz – dzisiaj nie do pojęcia – szacunek wśród ludzi. A jednocześnie władza miała miękkie kolana wobec wybitnych uczonych. Zupełnie to zatraciliśmy z biegiem lat, zmianą ustroju, innymi zmianami kulturowymi, kultem konsumpcji materialnej. Akademicy byli elitą PRL, wielu wyrobiło sobie taką pozycję, że władza jakoś tolerowała ich niepokorność. Te środowiska miały pewną autonomię. Pilnowały jej. Znamienny był pewien incydent, który ukazywał pewną niezależność środowiska naukowego. Było dwóch prawników, profesorów, jeden uniwersytecki, drugi PAN-owski. To byli wybitni prawnicy, zwłaszcza ten drugi. Ten pierwszy zaś miał bardzo ciekawą biografię, swoją i rodzinną, okupacyjną. Obaj byli absolutnie stopieni z władzą. Jeden, ten z uniwersytetu, był uważany przez naprawdę wiarogodnych uczonych, ludzi kultury – w Warszawie przynajmniej – za nawet jak na standardy PRL wyjątkowego łajdaka. I obaj bodajże w 1978 roku, przystąpili do wyborów na członków Polskiej Akademii Nauk. Znaleźli trzech członków korporacji, którzy rekomendowali ich kandydatury, pozytywnie potem przeszli głosowania wydziałowe, ale na Zgromadzeniu Ogólnym PAN, kiedy głosowanie było tajne, pierwszy dostał tylko jeden głos, drugi – dwa głosy, czyli nawet nie uzyskali pełnego poparcia od tych trzech osób, które ich rekomendowały. To środowisko dbało jakoś o standardy. Nie tylko naukowe, to oczywiste, lecz także etyczne.

Uniwersytet Latający, bardziej spersonalizowane Towarzystwo Kursów Naukowych, miało w swoim gronie wybitnych uczonych, bardzo silne osobistości ze świata nauki. Byli prof. Waław Gajewski, właśnie prof. Jan Kielanowski, prof. Edward Lipiński, prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, prof. Aleksander Jabłoński. Wszyscy oni byli członkami PAN. Otoczeni wybitnymi twórcami kultury. Anegdoticznie może zabrzmieć, że kiedy otrzymałem wiadomość, że w Krakowie listę TKN podpisali m.in. Kornel Filipowicz i Wisława Szymborska, ucieszyłem się przede wszystkim z akcesu pana Filipowicza. Jakoś bardziej przemawiała do mnie proza niż poezja. To żart oczywiście. Myślę, że jakość ludzi,

ich autentycznie wyjątkowa pozycja w nauce, w kulturze była jedną z przyczyn, dla których władza nie uderzyła w TKN od razu, niejako z marszu, zawahała się i dało to nam czas na pewne ustabilizowanie się, uzyskanie legitymizacji dla naszej pracy w środowiskach nauki. Ten moment zawahania władzy był dla nas mega istotny. Powstał instytucjonalny niejako zbiorowy autorytet całkowicie niezależny od władzy. Jana Kielanowskiego należy uznawać za jednego z najistotniejszych fundatorów tego zbiorowego autorytetu. To był wyjątkowy człowiek.

R.Z.: Czyli był pewien szacunek, autorytet?

A.C.: Sam fakt bycia członkiem PAN dawał szacunek. Przed autorytetem uczonych zgromadzonych w Polskiej Akademii Nauk władza jakoś miękła. Dla niej było wyzwaniem, że ktoś taki podejmuje się otwarcie sprzeciwić. Władza przeskadzała, robiła rozmaite świństwa, jednak to był autorytet nie tylko w odbiorze społecznym, ale też władzy. Jan Kielanowski od samego początku był aktywnym uczestnikiem Rady Programowej TKN, która ustalała tematy wykładów i poddawała ocenie przedstawiane jej konspekty. Oczywiście chodzi o ocenę merytoryczną tylko i wyłącznie. Wiedzieliśmy, że poziom wykładów będzie podlegał niezwykle wnikliwej obserwacji nie tylko ze strony władzy szukającej pretekstów do uderzenia w UL, lecz także bardzo szeroko po Polsce rozlanych środowisk uniwersyteckich. Kiedy zorientowałem się, jak fantastyczni ludzie pojawili się w kręgu Uniwersytetu Łatającego, chciałem jak najszybciej – póki było jakieś okienko wolności, pewne zawahanie władzy – zinstytucjonalizować TKN. Ludzie tacy, jak Jan Kielanowski, Konrad Górski, Henryk Wereszycki, Stanisław Hartman, Bolesław Gleichgewicht, świadczyli swoimi nazwiskami, osiągnięciami, pozycją, własnym nieudawanym autorytetem w swoich środowiskach, że to jest coś autentycznie wartościowego. Byli jakby tarczą obronną przed rządową propagandą. Uderzyć w nich argumentem niekompetencji, uzurpacji, nadużycia, szaleństwa, braku odpowiedzialności – to byłaby autokompromitacja. Ja zaś uważałem, że jesteśmy słabi, że władze otrząsną się z pierwotnego zaskoczenia i uderzą, więc natychmiastowa – jak to możliwe – instytucjonalizacja nas wzmocni. Także przez łatwiejsze odwołanie się do standardów Europy Zachodniej. Nie było mowy

o legalnej rejestracji. Profesor Kielanowski w TKN był od samego początku. I od samego początku swoją postawą narzucał pewien styl. Nie puszył się, był wręcz bardzo skromnym człowiekiem. Jego pewność słuszności naszych działań, jego postawa człowieka wolnego i w pełni swoich przyrodzonych, a nie nadanych przez kogokolwiek praw – w tamtym klimacie, powiedzmy, dość rewolucyjna, nie dla wszystkich na początku oczywista – narzucały szacunek wobec niego i wobec racji, które przedstawiał. On nie stwarzał jakiegoś dystansu, lecz chyba wszyscy, którzy pozostawali jakoś w jego kręgu, uznawali jego wyjątkowość. Może wydać się to dzisiaj zabawne, ale wtedy było dość znamienne – nie ubierał się jakoś za bardzo elegancko. No, trochę złośliwie powiem – poszetki by nie wetknął sobie w górną kieszonkę marynarki. Ubierał się „z angielska”. Na ogół nosił krawat, ale do flanelowej koszuli i do tweedowej marynarki. Miał w sobie elegancję nie nabytą, tylko taką z urodzenia, z genów, z lwowskiej lekarskiej rodziny. W domu siedział za biedermeierowskim biurkiem pod kolekcją obrazków malowanych na drewnie przez Witkiewicza, który przyjaźnił się z jego ojcem i zaprojektował Kielanowski dom na grapie w Witowie.

R.Z.: Jak kształtowały się wasze relacje?

A.C.: Profesor był człowiekiem absolutnie otwartym na rozmowę. Utrzymywał jednak pewien dystans fizyczny. Powiedziałbym – przyjazny dystans. Na przykład nigdy nie podawał ręki. Nie zdarzyło mi się chyba uścisnąć mu dłoń. Ale nie tylko takiemu młodzikowi jak ja. Także swoim rówieśnikom. On podchodził i witał się, podnosząc rękę zgiętą w łokciu. To był bardzo charakterystyczny gest. Jakim był dla mnie autorytetem, ilustruje to, że czasami sam tak się witam z niektórymi znajomymi. Łapię się na tym i trochę mi wstyd, bo takie naśladownictwo, chyba nie za bardzo intencjonalne, raczej odruch, zapatrzenie, odbiera troszeczkę podmiotowości człowiekowi.

Profesor miał nieprawdopodobny szacunek u ludzi i to wychodziło zupełnie naturalnie. Miał jednocześnie bardzo zdecydowane poglądy. Był integralnym katolikiem, co w tym środowisku nie było za częste. Andrzej Kijowski, Bohdan Cywiński i jeszcze Tadeusz Mazowiecki. No pewnie jeszcze ojciec

Aleksander Hauke-Ligowski, profesorowie Jerzy Kłoczowski i Czesław Zgorzelski. To była jednak raczej postawa niszowa. Na pewno nie dominująca. Nie wyczuwało się jednak żadnego wykluczenia, żadnej wyższości, pouczenia czy śladu postawy misyjnej. No, nic takiego, co by stworzyło komukolwiek jakiś dyskomfort.

W Radzie Programowej TKN prof. Kielanowski był chyba największym „jastrzębiem”. Większym ode mnie z pewnością. Biologicznie niejako nie znosił tego ustroju i czuł jego absolutną obcość. Kulturową, moralną, polityczną. Ale tu pracował. Mógł wyemigrować, ale wydaje mi się, że kiedy rozmawialiśmy o emigracji – jego emigracji – było to dla niego wykluczone. Prezydent Raczyński proponował mu w 1979 roku następstwo. Odrzucił. Miał brata w Londynie, Leopolda, który pracował dla Radia Wolna Europa. Tam siebie nie widział. Wybrał Jabłonną, swój instytut, swoje świny i owce, Polskę wybrał. Sam o sobie mówił filuternie: „Jestem świniarz”. Taki był Jan Kielanowski. Nie wyobrażał sobie życia poza Polską.

R.Z.: A czy Profesor miał jakieś przyjaźnie?

A.C.: Najbliższą przyjaźnią prof. Kielanowskiego był, zdaje mi się, prof. Lipiński. Socjalista. Mieszkali tuż obok siebie, bo Lipiński mieszkał w kampusie SGPiS, czyli wystarczyło po przekątnej przejść skrzyżowanie Alei Niepodległości z Rakowiecką. Bywali u siebie często, także na obiadach. Lipiński przychodził do nich, do pani Zofii i Jana Kielanowskich. Kielanowski chodził do niego, Lipiński mieszkał samotnie. I to była prawdziwa przyjaźń, zabawna dlatego, że ewidentnego socjalisty z ewidentnym, takim absolutnie odpornym na lewicowość konserwatystą. To też charakterystyczne. Jan Kielanowski był człowiekiem twardym. Taką postawę prezentował w TKN, i to już od samego początku. Trzeba zaznaczyć, że w TKN przez cały czas jego trwania ciągnął się spór o to, jak działać, jaką taktykę obrać, słowem: mocniej czy roztropniej. To tworzyło pewnego rodzaju przestrzeń dla konfliktu z KOR. Bez KOR nie byłoby TKN, ale TKN bardzo dbał o to, żeby zachować niezależność od KOR. Ja bardzo tego pilnowałem. Wiedziałem, że jeżeli wybierzemy w TKN opcję ostrego konfliktu

z władzą, to znaczy, że w każdej sprawie, która nas konfliktuje, będziemy moralnie – że tak powiem – niezłomni, to TKN się rozleci. Dla Kielanowskiego zaś imperatyw moralny był silniejszy od kalkulacji politycznej. Był „jastrzębiem” jak na tamte relacje. Ale jednocześnie był wybitnym intelektualistą. On potrafił to godzić. Z jakąś przyjaźnią wobec osób pozostających z nim w sporze. Cudowna umiejętność.

Sam o sobie mówił, że jest świniarzem. Tak mówił w tym świeckim, intelektualnym, uniwersyteckim, warszawskim środowisku. Zajmował się genetyką i żywieniem zwierząt, ale to był jego fach, z tego się utrzymywał. Był przy tym człowiekiem o wysokiej klasie intelektualnej. Znał i pamiętał Witkacego przez swojego ojca. Witkacy był przyjacielem jego ojca, zamożnego lekarza lwowskiego, któremu przed wojną zaprojektował dom w Witowie. Żona profesora była muzykologiem, profesorem w Akademii Muzycznej na Okólniku. W domu stał fortepian. Obiło mi się o uszy, może niesłusznie, że w instytucie w Jabłonie nie wszyscy byli zachwyceni zaangażowaniem Kielanowskiego w opozycję. Wybitny w swojej dziedzinie, na dodatek intelektualista z imponującą biografią rodzinną i tak dalej, a do tego jest najbardziej opozycyjnym pracownikiem instytutu. W jakiś sposób mogło to szkodzić pracownikom placówki. Mogliby pewnie mieć więcej, gdyby nie taki dyrektor, gdyby nie taka postać.

R.Z.: A skąd „Jankiel”?

A.C.: Ja jego tak nie nazywałem, nawet zaocznie. Przez szacunek. Mimo że się z nim często spotykałem. Ja mówiłem o nim po prostu „Profesor”. I wiadomo było, że chodzi mi o Kielanowskiego, a nie o kogoś innego. Jankiel – tak mówił przede wszystkim Jan Józef, czyli mój wuj, Jan Józef Lipski, i Jacek Kuroń. Oni nazywali go Jankielem, ale z sympatią, najgłębszym uczuciem. Ja nigdy. Był ogólnie lubiany, poza władzą chyba mało kto go nie lubił.

R.Z.: Czyli był człowiekiem twardego charakteru?

A.C.: Pamiętam, kiedy raz poszedł do Akademii w sprawie TKN. Bo była taka próba „legalizacji nielegalizacji” TKN w PAN. Powiedzmy – notyfikacji istnienia.

Jakaś forma walki-koegzystencji. TKN miał charakter towarzystwa naukowego. Polska Akademia Nauk pełniła funkcję jakby czapy nad wszystkimi towarzystwami naukowymi w Polsce. Kielanowski poszedł właśnie w tej sprawie do Szczepana Pieniążka, do Kazimierza Kuratowskiego, którzy byli wiceprezesami PAN, i do Witolda Nowackiego, prezesa Akademii. Poszedł, żeby może nawet nie tyle notyfikować, ile stworzyć dokumenty dające oparcie dla TKN np. wobec jakiegoś politycznego procesu przeciw TKN. Przyszedł wzburzony. Chyba to było tak, że na początku nie powiedzieli ani tak, ani nie, zebrali tylko jego dokumenty. Na koniec prezes go wezwał i ponoć wyśmiał całą ideę TKN. Rozmawiałem z nim zaraz po tym negatywnym przyjęciu, to był jedyny przypadek, kiedy widziałem Kielanowskiego, jakby doznał może nie upokorzenia, lecz bardzo głębokiego rozczarowania. I uzewnętrzniał to. Profesor Kielanowski był personalistą. Nie oceniał człowieka, tylko jego czyny. Nie mówił brzydko o człowieku, ale o tym, co brzydkiego zrobił. W każdym razie było widać, że był wstrząśnięty tą rozmową. Potem już z nimi nie próbował rozmawiać. Ale ze strony Akademii nie spotkały go za to jakieś szykany. Co mogli mu zrobić? Paszport odebrać? Otoczyć ostracyzmem? To on mógł go stosować. Ostracyzm wśród kolegów, członków Akademii? On był wybitny i nie był postacią byle jaką w życiu PAN. To po pierwsze. Poza tym jest coś w życiu społecznym takiego, że orły wyczuwają się nawzajem. Ludzie wiedzą, kto jest orłem, a kto sępem. I było może jeszcze coś... w tamtym czasie nadal znaczyło to, że ktoś był ze Lwowa. Ten fakt dawał „plusy dodatnie” – bo był pokrzywdzony i należało mu się inne, lepsze traktowanie.

R.Z.: A „zielony sędzia”?

A.C.: Kielanowski stworzył dla mnie pojęcie „zielonego sędziego”. Jeżeli masz problem naukowy, który jakoś definiujesz, ale którego nie potrafisz rozwiązać, to dobrze jest, gdy jest was kilka osób zajmujących się danym zagadnieniem, zaprosić kogoś z zewnątrz. To powinien być ktoś równie wybitny jak wy, ale z zupełnie innej dziedziny. W TKN robiliśmy takie seminaria.

Kielanowskiego miałem zawsze za wielkiego intelektualistę i trochę się dziwiłem tym jego świniom i dokonaniom zootechnicznym. Teraz mogę sobie

wyobrazić, że on mógł być właśnie takim „zielonym sędzią” wśród zootechników. Owszem, zajmował się jak inni aktualnym problemem, ale miał szersze, daleko szersze spojrzenie. Stąd pewnie się biorą jego odkrycia naukowe.

Na Kielanowskiego mogli spoglądać trochę jak na raroga. Tym bardziej, że z pewnością był moralnym wyzwaniem dla wielu przeciętnych wyrobników Pana Boga. Był bardzo dobrym człowiekiem w niezbyt dobrych czasach. Opozycyjność Jana Kielanowskiego była naturalna. Mógł czuć się przez to samotny w PRL. O Tadeuszu mi nie mówił. Drugi brat, Leopold, mieszkał w Londynie i miał utrudniony z nim kontakt. O nim jednak wspominał. Często. Jak się czuł w PRL? Chyba w opozycji, w Jacku Kuroniuz uzyskał tlen w płucach. Kochał Jacka. Kochał prawdziwe wartości. Był wobec nich, opozycjonistów, lojalny. Bezwzględnie. Jeśli kiedykolwiek tężała mu twarz, to wtedy, kiedy ktoś plótł bzdury na temat Jacka.

R.Z.: A jak widział przyszłość?

A.C.: Nie pasowałby do naszych czasów, estetycznie i intelektualnie. Miał ostrość ocen i mówił wprost. Terazniejszość byłaby dla niego wielkim rozczarowaniem. My wszystkie kary i nagrody mieliśmy w swoim środowisku. Nas świat zewnętrzny w ogóle nie interesował. Mówię o moralnym aspekcie życia. O przyzwoitości. Jeśli ktoś się zachował nieprzyzwoicie, co było taką rzadkością, że budziło absolutne zdziwienie, nikt nie chciał o tym mówić. Nie było przestrzeni do nieprzyzwoitości. Po prostu. Nie było konsumpcjonizmu, nie było takiego wyścigu po pieniądze i nie było ocen ze względu na stan posiadania. To się nie liczyło.

*W tamtym czasie ktoś, kto był
członkiem Polskiej Akademii Nauk,
miał nieprawdopodobny wręcz – dzisiaj
nie do pojęcia – szacunek wśród ludzi.
A jednocześnie władza miała miękkie
kolana wobec wybitnych uczonych.
Zupełnie to zatraciliśmy z biegiem lat,
zmianą ustroju, innymi zmianami
kulturowymi, kultem konsumpcji
materialnej.*

Andrzej Celiński